

**CZARNA
OWCA**

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

**CZARNA
OWCA**

**SZKIC BIOGRAFII
BŁ. MATKI KOLUMBY GABRIEL**



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:

Jacek Zelek

Fotografia na okładce:

fotografaw / Adobe Stock

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów

L.dz. 40/2018, Tyniec, dnia 14.02.2018

† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie: Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-766-7

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków

tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95

e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl

zamowienia@tyniec.com.pl

www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:

Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów

druk@tyniec.com.pl

Spis treści

1. Szkoła	7
2. Postulantka u „panien łacińskich”	18
3. Lata formacji	30
4. Idealizm w akcji	49
5. Coraz więcej obowiązków	61
6. Ksieni	86
7. Katastrofa	107
8. Nadzieja, która zawiodła	124
9. Subiaco: uliczka do nikąd	146
10. Zagubiona w tłumie	158
11. „Szukam pracy”	175
12. Iride, Elodia, Melania, Elena, Cunegonda... .	192
13. „Mało, ale dobre”	207
14. Kobieta krzepkiej wiary	223
15. Ardentemente italiana	243
16. Echa z pierwszej ojczyzny	258
17. Przygoda z Sardynią	269
18. Ostatnie lata	288
19. Rada bym w proch się zamienić	303
Bibliografia	313

1. Szkoła

Moralna strona wychowania nic prawie do żądania nie pozostawiała... Nie bywałyśmy na balach, nie stroiłyśmy się... i nic nie uczyło nas próżności, przesady, pychy i kokieterii... Oprócz dziecinnie egzaltowanych przyjaźni pomiędzy koleżankami i przywiązań do wybranych zakonnic, zamykających się w granicach uwielbień i ubóstwień idealnych, nie pozostawał między nami cień erotyzmu i romansowości... W bardzo znacznej większości byłyśmy córkami rodzin majątnych: więc w marzeniach uwalniałyśmy włościan, rozdawałyśmy nasze majątki oraz walczyłyśmy zapamiętałe o wolność ojczyzny. Były i takie, które marzyły o zabawach, strojach, a nawet o wychodzeniu za mąż, ale była to mniejszość.

Tak wspomina atmosferę swoich szkolnych lat Orzeszkowa, uczennica warszawskich sakramentek. Było to na parę lat przed powstaniem styczniowym. Jeżeli w tej blisko stuosobowej gromadzie panienek prawie już na wydaniu, w przeważającej większości były te, co reformowały

świat, a w mniejszości (nieco pogardliwie przez pisarkę potraktowanej) takie, które marzyły o normalnym i naturalnym powołaniu kobiety, o założeniu rodziny – to widać, że atmosfera tam była przepojona tym, co ta sama pisarka każe czarnym charakterom w swoich powieściach określać jako „wściekły idealizm”. Dodajmy, że był nie tylko „wściekły”, ale i bardzo trwały. Mimo wszystkich komplikacji swego życia prywatnego Orzeszkowa zostanie temu idealizmowi wierna do śmierci.

Zdaje się, że ten obraz szkoły zakonnej z drugiej połowy XIX wieku można by bez żadnych zmian odnieść do wielu takich szkół zarówno w Królestwie, jak i w Galicji. W Królestwie zresztą były to już ich ostatnie lata: po powstaniu styczniowym rząd carski zamknie wszystkie szkoły klasztorne, nie z czym innym walcząc, jak właśnie z ich wściekłym idealizmem patriotycznym i społecznym. Pozostaną szkoły galicyjskie. Nie było ich w początku stulecia wiele. Poza Krakowem, który pod rządy austriackie dostał się nieco później, skasowano w Galicji już w roku 1782 wszystkie klasztory, które nie prowadziły szkół lub szpitali, a także kilka takich, które je prowadziły, żeby nie było za dużo. Tym, którym pozwolono istnieć, postawiono warunek: wszystkie siły włożyć w dzieło. Życie kontemplacyjne było odtąd zakazane. Ten zapał reformatorski austriackich hofra-

tów osłabł nieco po śmierci Józefa II, i po zajęciu Krakowa pozwolono w nim istnieć nadal paru wspólnotom ściśle klauzurowym; ogromna jednak większość klasztorów żeńskich, niezależnie od reguły, zajmowała się nauczaniem. Ich liczba rosła bezustannie, przede wszystkim dzięki powstawaniu nowych zgromadzeń, zakładających głównie szkoły ludowe czyli podstawowe; ale także szkoły zwane wydziałowymi, dające wykształcenie średnie, mnożyły się bądź przez zakładanie szkół nowych, bądź przez przedłużanie nauki w już istniejących, osiągając tuż przed I wojną światową liczbę trzydziestu dwóch. Wiele z nich nie miało praw publicznych: uczennice rekrutowały się tam spośród panien dość zamożnych, żeby nie potrzebować dyplomu z pieczętą, a za to program nauki można było częściowo zmodyfikować w stosunku do szkół państwowych. Lwowskim sercankom w roku 1848 zamknięto przejściowo szkołę za nadmiar patriotyzmu polskiego. Niepokalanki wzięły sobie za główne zadanie wykształcić i przepoić tym patriotyzmem wpływową warstwę społeczeństwa. Także niektóre przynajmniej spośród szkół prywatnych, prowadzonych przez osoby świeckie, wychowywały w podobnym duchu. Były to więc rozsadniki idealizmu, w których duża część uczennic szukała wiedzy nie po to, żeby zdobyć zarobek, ale żeby reformować świat.

Świat zaś (a w nim polskie społeczeństwo) niewątpliwie wciąż potrzebował reformy. Była w nim nadal niewola polityczna, była tragiczna sytuacja społeczna, nawet po „wyzwoleniu włościan” niewiele lepsza niż przed nim – i wreszcie była moralna ludzka nędza, nieuchronnie obecna we wszystkich stanach. Jeżeli wierzyć powieściopisarzom z przełomu XIX i XX wieku, główną plagą naszego ówczesnego świata była obmowa: nie takie sobie zwykle niemądre plotki, ale obmowa gorzka, gryząca, płynąca z zawiści, rzucająca się łapczywie na wszelkie dostrzeżone dobro, by je błotem zamazać i udowodnić, że wcale dobrem nie było. Tej pladze mało kto umiał czy nawet próbował zaradzić, gdyż mało kto zdawał sobie sprawę, że walczy się z nią nie przez strofowanie za nią innych, ale przez trzymanie własnego języka za zębami. Zdawałoby się, że duchowieństwo, formowane przecież w seminariach i nowicjatach do pracy nad sobą, powinno było świecić wzorem mądrej powściągliwości w mowie: ale i jemu to świecenie szło trudno.

Kto się jednak wybierał od dziecka reformować świat, i to reformować go ofiarnie własnym kosztem, mógł mieć (jak w każdej epoce) radośną pewność, że mu pracy nigdy nie zabraknie. Dziewczynka, urodzona 3 maja 1858 roku w Stanisławowie i tegoż dnia ochrzczona w kościele parafialnym Niepokalanego Poczęcia pod imiona-

mi Janiny Matyldy, wchodziła więc w świat pod wspaniałymi auspicjami.

Rodzice nazywali się Rudolf Gabriel i Agnieszka z Rawskich. Włoscy biografowie Błogosławionej robią z nich szlachtę, ktoś nawet mówi o arystokracji, ktoś wie o tytule barona... ale jest pewne, że nazwisko Gabriel nie należy do polskich nazwisk szlacheckich. Rzymskie wychowanki Matki dopatrywały się herbów w znakach na jej chusteczkach, poza tym imponował im jej spokojny sposób bycia, takt i dobre wychowanie; ktoś jeszcze w dodatku przypomniiał sobie, że kiedyś mówiła, jak bardzo od dzieciństwa lubi konie i opowiadała, jak karmiła cukrem konie swego ojca... Co do tych herbów, gdyby je nawet miała, musiałaby się ich pozbyć w nowicjacie i na pewno by ich nie używała nigdy więcej; więc raczej sądzić można, że były to po prostu skomplikowane wedle ówczesnego stylu zdobnictwa monogramy. Co do spokoju, Matka Kolumba była jak na polską skalę porównania dość żywa, ale wybuchowym Włoszkom mogła i tak wydawać się posągowo spokojna, zwłaszcza że wówczas już tyle udręki musiała przed otoczeniem ukrywać. Nienaganne manieiry mogły być częściowo wyniesione z domu, jeżeli był to (jak wszystko zdaje się wskazywać) dom należący do nowej podówczas warstwy społecznej, nazwanej później inteligencją; ale w dużej

mierze mogły być także śladem szkoły zakonnej, w której wtedy na takie sprawy zwracano wielką uwagę. Pozostają więc już tylko konie, ale to za mało, by zrobić z kogoś barona.

Rudolf Gabriel mógł być zresztą pochodzenia austriackiego, ale w takim razie byłby już (jak wielu innych dookoła) Niemcem dokładnie spolszczonym, może w drugim lub jeszcze dalszym pokoleniu. Z czegokolwiek żył i w jakimkolwiek celu trzymał konie, był dość zamożny, by rodzinę nie tylko utrzymać, ale i łożyć na dobra kulturalne. Janina Matylda uczyła się muzyki, i to chyba starannie i długo (a więc nie bez ćwiczeń na własnym instrumencie), skoro grała później bardzo ładnie podobno, ze szczególną preferencją dla Szopena. Był to zresztą zaledwie jeden z jej licznych talentów, tylko wybierać: malarstwo, muzyka, sztuka słowa... Ale najgłębiej siedziała w niej pasja nauczycielska.

Nad światem jej dzieciństwa, złożonym z rodziców i jednego braciszka, królowali zgodnie Bóg i mama. Od mamy pochodziły niewątpliwie pierwsze nauki – o wszystkim: o Bogu i o literach, jak się trzyma widelec i jak się dąży do zbawienia. Mama była najważniejsza na świecie, ale jednocześnie uczyła, że Bóg jest najważniejszy: nie było w tym żadnej sprzeczności, Bóg i mama zgadzali się we wszystkim. Janinie Matyldzie został

szczęśliwie oszczędzony szok, jakim dla tylu powołanych jest sprzeciw najbliższych wobec ich powołania. Miała osiem lat, kiedy postanowiła zostać zakonnica: rodzice mieli wszelkie prawo nie traktować od razu tych planów poważnie, ale też z drugiej strony nie okazali najmniejszego sprzeciwu.

W tym samym roku (1866) państwo Gabriel przenieśli się do Lwowa. Jeszcze przez dwa lata mała uczyła się w domu i dopiero kiedy miała lat dziesięć, poszła do szkoły – od razu, jak się zdaje, do klasy czwartej. Zapisano ją na początek do tzw. Szkoły Elżbiety: była to szkoła państwowa, nosząca imię najjaśniejszej habsburskiej cesarzowej, a właściwie dwie szkoły pod tym samym imieniem: męska i żeńska. Wybór był może podyktowany bliskością miejsca: jak zobaczymy, Janina Matylda miała swe pięć lat nauki spędzić w aż czterech różnych szkołach. Z samego początku tego okresu znane są dwa drobne epizody; zapewne później w Rzymie bawiła czasem swoje wychowanki anegdotami z własnego dzieciństwa, jak zwykle matka, i te akurat pozostały w ich pamięci. Dziesięcioletnia przyszła mniszka najwyraźniej miała całkiem normalny nadmiar energii ruchowej do wyładowania i wyładowywała go w całkiem normalny sposób, mianowicie skacząc po ławkach; kiedyś jednak spadła i skaleczyła się boleśnie. Za-

miast pędzić do mamy po pociechę, ukryła to skaleczenie, żeby mamy nie zmartwić. Już wtedy, i nawet wobec własnej matki, kochać znaczyło dla niej przede wszystkim: opiekować się.

A drugie wspomnienie to straszliwy dylemat, przed którym mała stanęła prawdopodobnie mniej więcej w tym samym czasie. Uczennice rekrutowały się oczywiście ze wszystkich grup narodowych i religijnych, reprezentowanych we Lwowie, były więc tam katoliczki rzymskie, unitki ruskie i może także ormiańskie, mogła być mała grupka ewangeliczek, była na pewno spora grupa Żydówek. Janinę Matyldę nauczono, że Żydzi kiedyś dawno nie rozpoznali Chrystusa, ale że jeszcze mogą Go poznać, jeżeli się im wytłumaczy. Wobec tego zabiera się do tłumaczenia, z całą powagą, tej spośród żydowskich koleżanek, z którą przyjaźni się najbardziej. Źle trafiła: koleżanka nie miała żadnej ochoty na konwersję, a chcąc prawdopodobnie uciąć temat, replikowała:

– Wiesz, ja to cię bardzo lubię, ale moi rodzice, gdyby się dowiedzieli, że mnie nawracasz, to by cię zabili.

Groźba była oczywiście całkiem nierealna, ale właśnie w takie rzeczy ludzie gotowi są wierzyć. Janina Matylda uwierzyła natychmiast, ale ze skutkiem wprost przeciwnym do zamierzonego: nie przestraszyła się, tylko uznała, że ma szansę

na prawdziwe męczeństwo. I tu właśnie był dylemat. Bo z jednej strony męczeństwo podoba się Bogu i prowadzi prosto do nieba; z drugiej jednak strony, co powie mama? To już mogłoby dla niej być za dużo! Po raz pierwszy i chyba ostatni, przez moment, straszny moment, Bóg i mama najwyraźniej się nie zgadzali. Potem refleksja: to, co by zmartwiło mamę, nie może podobać się Bogu. Trzeba więc działalności apostolskiej na ten raz zaniechać. Miała o kilka lat więcej, niż ich miała Teresa z Avili, uciekając z domu w poszukiwaniu męczeństwa; prawdopodobnie dlatego zdołała dostrzec więcej niż jeden aspekt sprawy.

Następny rok szkolny spędziła u benedyktynek „łacińskich”. Była to jedna z trzech najstarszych we Lwowie szkół zakonnych. Wyzwolona już od roku 1848 z obowiązku uczenia po niemiecku, szkoła ta była właśnie w trakcie dalszych przemian. Rok przedtem ksieni Benedykta Rzączyńska otworzyła w niej piątą klasę, a następnie szóstą; dwie potrzebne do tego sale uzyskano kosztem dotychczasowego internatu, decydując się na przyjmowanie większego niż dotąd procentu uczennic dochodzących, a więc z miasta. Piąta klasa miała odtąd przerabiać bardzo starannie literaturę polską od początków do Oświecenia włącznie, szósta równie starannie literaturę okresu romantyzmu. Oczywiście towarzyszyło temu także pogłębianie

znajomości innych przedmiotów. Wyraźne było dążenie tak zakonnej zwierzchniczki, jak i księdza dyrektora, do zwiększania udziału samych zakonnicek w pracy nauczycielskiej, do zmniejszania zakresu narzucanej niemczyzny (nieco później wprowadzono także język francuski i oba te języki, jako obce, postanowiono wykładać dopiero od trzeciej klasy) oraz do poszerzania zakresu wiedzy chrześcijańskiej: wprowadzono na przykład historię Kościoła w miejsce dawnej „etyki ogólnej”. Aby tak decydować o profilu nauki, uzyskano status szkoły prywatnej.

Janina Matylda znalazła się więc we wrześniu 1869 roku wśród uczennic nowootwartej klasy piątej i w zasięgu oddziaływania idealizmu szkoły prywatnej, i to w dodatku zakonnej. Niewątpliwie było jej to bliższe niż atmosfera szkoły państwowej. Niemniej kolejne dwa lata szkolne, od jesieni 1870 do wiosny 1872 roku, spędziła w innej szkole zakonnej, u benedyktynek ormianek. Edukacja była tam najprawdopodobniej identyczna: można więc przypuszczać, że rodzice chcieli (skoro miała nadal uparcie pragnęła zostać zakonniceką i nauczycielką), żeby poznała kilka takich zakładów i któryś z nich sobie wybrała.

Cenzurki miała tak zwane „nudne”: nic tam nie było oprócz stopni bardzo dobrych. Jesienią 1872, a więc mając lat 14, przeszła znowu do szko-

ły państwowej, mianowicie do seminarium nauczycielskiego: nie chodziło na razie o dyplom, uprawniający do nauczania w szkołach podstawowych, tylko o naukę metody. W lipcu 1873 roku, mając lat 15, uznała, że może się już zgłosić do klasztoru. Powie później: „Za zabawami światowymi nie tęsknię, bo ich w ogóle nie poznałam”. Orzeszkowa byłaby zbudowana: kolejna idealistka ruszała do akcji.